

Maciej Żytowiecki

Lidia Love

RW2010

CD-ACTION

www.cdaction.pl

MACIEJ ŻYTOWIECKI
LIDIA LOVE

Oficyna wydawnicza RW2010 Poznań 2013

Redakcja Joanna Śłużyńska

Korekta Maciej Śłużyński

Redakcja techniczna zespół RW2010

Copyright © Maciej Żytowiecki 2013

Okładka Copyright © Maciej Żytowiecki 2013

Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2013

e-wydanie I

Utwór bezpłatny,

z prawem do kopiowania i powielania, w niezmienionej formie i treści,
bez zgody na czerpanie korzyści majątkowych z jego udostępniania.

Aby powstało to opowiadanie, nie wycięto ani jednego drzewa.

Oficyna wydawnicza RW2010

Dział handlowy: marketing@rw2010.pl

Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.pl

W miejscu paznokci żywe mięso; poranione palce rosą stół krwią, kiedy więzień chwyta za czarnego papierosa. Żar rozświetla pokierszowaną twarz, a uciekający z ust dym gładzi przetłuszczoną grzywę. Sine guzy na strzelistych kościach policzkowych popękały i przypominają pryszcze z czerwonym czopem.

Więzień zaciąga się łapczywie. Jest rozbitkiem czerpiącym powietrze pomiędzy kolejnymi uderzeniami sztormu. Odchyła się z ulgą, nawleka na ruinę ust parodię uśmiechu.

Stukot obcasów przybliża się. Uwiązana na pojedynczym kablu żarówka trzaska i rozbłyska jaśniejszym światłem.

– Podjąłeś dobrą decyzję, Tomaszu. Zresztą... Niewierność wpisana jest w twe imię.

– Zabawne.

– Uważasz, że żartuję? – Major Belmez zajmuje miejsce naprzeciwko więźnia. Ściąga czapkę i układa ją na stole, po czym poprawia włosy skąpane w brylantynie, odsłaniając dwa czarne rogi wielkości kciuka. – Życie w naszej domenie potrafi być zabawne.

Tomaszem wstrząsa szloch. Żar odrywa się od papierosa i upada na spodnie, leniwie rodząc cienką strunę dymu.

– Nasz czas jest ograniczony, Tomaszu.

– Od czego zacząć?

– Opowiedz o niej.

– Gdzie zacząć... Jest piękna.

– Czyż grzech nie skrywa piękna, Tomaszu? – Oficer wyłamuje powoli kostki palców, po czym z pietyzmem ściąga rękawiczki z lśniącej skóry. – Poprosiłbym jednak o dokładniejszy rysopis.

Czarne paznokcie demona przypominają szpony drapieznika.

- Brązowe oczy i włosy ścięte przy skórze. Niewielki nos, zmysłowe usta...
 - Znaki szczególne?
 - Blizna na prawym policzku, prawie niewidoczna.
 - Jak duża?
 - Może dwa centymetry. Nie więcej.
 - Budowa?
 - Zgrabna i szczupła. Niewielkie piersi.
 - Płaska?
- Tomasz mruga, diabeł uśmiecha się chytrze.
- Opowiedz coś o niej; chcę poznać bliżej tę Lidię Love.

Ogrodzenia piekielnych ambasad obmywa purpurowa ciecz, o której mówią, że to krew milionów dziewic składanych w ofierze przez bałwochwalców na przestrzeni mileniów. Skumulowana gdzieś w dole, w koszmarnych czeluściach, wypływa z gruntu i wspina się płynnie, wbrew zasadom ludzkiej fizyki, aż do żelaznych ostrzy wieńczących żelbeton, gdzie znika w różowej pianie. Lidia nigdy nie wierzyła w korporacyjne ani polityczne bujdy. Świat oparty jest na wierzeniach słabych, prostych umysłów, karmionych papką przekazywaną przez media. Ludzie niezdolni wyjść z roli trybików są przeznaczeni do roli ofiar w wojnie, o której nie mają pojęcia. Lidia dawno temu przejrzała na oczy. Dla niej to nie jest krew, ale ektoplazma potraktowana silnym mutagenem, niezdolna przetrwać w środowisku tlenowym zbyt długo. Lidia wie więcej i może więcej.

Agentka kończy spacer wzdłuż murów, stając przed bramą. Przykłada wewnątrz dłoni do cierniowych prętów, obserwuje eteryczne falowanie towarzyszące przenikaniu ciała astralnego przez rzeczywisty przedmiot. Kilka niewielkich iskier i

ręka aż po łokieć przechodzi na drugą stronę. Biokamery umieszczone w pyskach gargulców niezmiennym tempem śledzą okolicę, nie reagując w żaden sposób.

– Nie jest źle. – Kiwa głową.

Wywiad spisał się na medal.

Sięga do niewielkiej sakwy, koncepty zamknięte w kamykach klekoczą, kiedy przerzuca je w palcach, oczekując znajomego echa, stanowiącego o ich przeznaczeniu w tej sferze. Wreszcie wyciąga niewielką skamielinę, gładząc kciukiem wyryty Sigil – w dłoni pojawiają się gogle pilota, które zakłada.

– Dziękuję – szepcze.

Ciemność znika, jakby słońce nagle przerwało płachtę nocy i zawisło pośrodku nieboskłonu. Ambasada nie przypomina już gierkowskiego potwora, prostopadłościanu wyciętego z komunistycznego szablonu – oto oczom Lidii ukazują się tysiące cielecych rogów wyrastających z dachu niby jakaś prehistoryczna korona, zaś budowlę oplatają ciemne macki, niemal lubieżnie pieszcząc białe mury.

Love wciąga powietrze nawykiem fizycznego ciała; nawykiem, którego się nie wyzbyła, pomimo prawie pięciuset astralnych wędrówek – wreszcie skacze przez bramę. Jej duchowa powłoka rwie się, jakby wpadła w krajalnicę, jednak po drugiej stronie natychmiast odzyskuje spójność.

Oddalone o kilka kilometrów ciało Lidii Love wypuszcza powietrze, po czole spływa kropla potu.

Agentka niepostrzeżenie przemyka pomiędzy glifami i solnymi okręgami zdolnymi uwięzić ducha. Willa jest blisko.

– **Z**na polski, angielski, niemiecki i francuski.

– Zapewne to nie wszystko. – Major Belmez gładzi jaszczurkę, która przysiadła mu na ramieniu. Gadzie oczy lustrują pomieszczenie; jedna gałka porusza się niezależnie od drugiej. Czerwona gardziel nadyma się jak balon, rozdwojony jęzor raz za razem przecina powietrze.

– Świetnie naśladuje akcenty. Angielski na wskroś brytyjski, niemiecki jak u Sonderkommando...

– Love to nie jest prawdziwe nazwisko?

– A jak pan sądzi? – Tomasz wykrzywia spękane usta w kolejnej nieudolnej parodii uśmiechu.

Jaszczur z elegancją wędruje po sztywnym jak kołek oficerze. Wbija się pazurami w elegancki mundur i leniwie jak szlachcic obchodzący swe ziemie spęza na stół.

– Jak się poznaliście? – Diabeł przeczesuje włosy, wstaje, splata ręce na piersi i rozpoczyna marsz.

Lampa mruga i przygasa, jakby ktoś opuścił na nią żałobny welon.

– Na konferencji w Łodzi. Spotkałem ją na wręczeniu nagrody Biznesmena Roku, mieliśmy sąsiednie pokoje w hotelu.

Stukot obcasów oddala się.

– Niezwykły zbieg okoliczności, Tomaszu. Czy wierzysz w zbiegi okoliczności?
– Głos dobiega z cienia.

Tomasz mruga. Krwawa łza tańczy na rzęsie, po czym rysuje nierówną linię na jego policzku.

– Ty nie wierzysz w zbiegi okoliczności, Tomaszu? – Chichot zdaje się zbliżać do uwięzionego mężczyzny, który nagle szarpie się na krześle. Kajdany brzęczą ciężko, przypominając o swoim istnieniu. Uspokajając. Bo nie ma dla potępionych ucieczki z Erebu, ani z żadnej z jego ambasad.

– A jeżeli nie jest zbiegiem okoliczności, że znalazłeś się tutaj, na tym krześle, to ktoś na górze musi cię bardzo nie lubić.

Kołatka na drzwiach wejściowych przypomina pysk byka i Lidia śle bestii pocałunek, kiedy wnika do wnętrza budynku. Ląduje pośrodku przepastnego korytarza w deszczu szkarłatnych iskier. Przykuca, starając się skoncentrować rozproszone fragmenty swojego ciała astralnego.

– Cholera, robię się nieuważna – parska.

Pułapka w drzwiach wejściowych. Jedna z najstarszych sztuczek...

Przestraja szkła w goglach i zamiast tunelu pełnego krwawiących korpusów, kościanych drzwi i stopni z obciętych ludzkich głów widzi korytarz obwieszony obrazami piekielnych generałów oraz dostojników, uwieńczony marmurowymi schodami. W górze zamiast ociekającej posoką ośmiornicy kryształowy żyrandol. Przekręca gałkę okularu o kilka stopni i nareszcie dostrzega glify – połyskujące plugawą energią pułapki podobne do tej, jaką umieszczono w głowie byka. Lśnią pod dywanami, za obrazami, na poręczy schodów, wiszą wyrysowane palcami zaklinaczy w powietrzu.

– Dwa kroki, północ. Jeden krok, północny wschód. Trzy kroki i przykucnąć, wschód. Skok, dwa metry, północ – agentka liczy cicho, wyrysowując w pamięci trasę do schodów.

Korytarzem idzie para służących. Poubierani w krwistoczerwone fraki o błękitnych żabotach przypominiliby klaunów, gdyby nie czarne rogi wyrastające spomiędzy ułożonych za pomocą żelu włosów. Dyskutują o czymś zawzięcie, z nieludzką zręcznością niosąc tace ze srebrną zastawą. Mijają Lidię o włos, nieświadomi obecności astralnego szpiega.

Agentka cierpliwie obserwuje rezonanse energii promieniujące z pułapek. Odmierza kroki, wylicza metry i sekundy. Spóźniony służący nadbiega z butelką szampana. Strażnik z karabinem udekorowanym srebrnym kozim łbem maszeruje, stukając twardymi obcasami. Głowa zadarta, czerwone oczka baczenie łypią w poszukiwaniu intruzów.

A Lidia Love kończy obliczenia. Rusza biegiem, przeskakuje nad pierwszym z glifów, energia trzeszczy pod nią, wyciągając chciwe szpony – grom wybucha za jej plecami, wypluwając w górę błękitną lawę, nadpalając podszwę lewej stopy.

Jej śniące, prawdziwe ciało, które spoczywa w zupełnie innym miejscu, owiewa odór spalenizny.

Astralna agentka zmienia kierunek biegu, unikając kolejnych pułapek. Strażnik przerywa marszrutę, rozgląda się, węsząc jak ogar. Wyciąga dłoń, odczuwając niewielkie zmiany w powietrzu, spowodowane magicznymi wyładowaniami.

Love przebiega obok żołnierza, muskając poszukujące zmian piekielne pazury. Czart marszczy brwi, kiedy dreszcz przebiega po jego skórze jak włochaty pajak. Wokół nadal trzaskają pułapki na dusze; jedna za drugą wytracają ładunki, eksplodują albo implodują. Lidia Love dopada schodów, przeskakuje trzy stopnie, nurkując pod entropiczną siecią opadającą z lampionu. Przeskakuje na półpiętro, wyciągając w locie smukłe nogi, rozpościerając ręce jak wędrowny sokół. Pod nią strzela zielona błyskawica, znajdując uziemienie w poręczy schodów.

Kobieta wspina się wyżej, a stróżujący czart odwiesza broń na ramię, przeklinając nerwy zszargane obecnością wysoko postawionego ludzkiego jeńca.

Lidia wzdycha z ulgą, jej ludzkie ciało przewraca się na drugi bok.

Żelazny rygiel zasuwają się z hukiem i Tomasz opada na śmierdzący materac. Przekręca głowę, oszczędzając zgruchotany nos i zmiażdżone usta. Powykręcane, bezwładne kończyny pulsują bólem setek ciężkich uderzeń; próbują odpocząć niesione na fali cierpienia. Oczy napuchły jak piłki, nie może zamknąć powiek. Nie potrafi uciec od myśli atakujących niczym stado wściekłych os.

Trzask przesywa ciemność, prostokątny strumień światła razi więźnia aż do chwili, gdy w wizjerze pojawia się twarz – jej błogosławiony cień oszczędza oczy.

– Wiemy, że z nią pracujesz, Tomasz. Wiemy, że próbowałeś zdobyć papier wizowy z Erebu.

– Nieprawda...

– Nie zaprzeczaj. Wiemy o tobie wszystko.

Oficer pokazuje niewielkie urządzenie, czerwona dioda błyska leniwie, kiedy nagranie zaczyna trzeszczeć w siatkowanym głośniku.

– Tutaj jest tak ciemno, syneczku. Tak bardzo, bardzo ciemno.

– Ona, ona... – Więzień przesuwa się na materacu, podpira łokciem i stękając, przechodzi do pozycji siedzącej. – Ona nie żyje.

– Od siedemnastu lat jest naszym gościem. Nie myślałeś chyba, że poszła do Nieba? Nie myślisz chyba, że takie miejsce w ogóle istnieje? – Rogi majora poruszają się, strzelają w górę, rozrywając skórę na czole. Wkrótce są dwa... trzy razy większe. – Tak lepiej, o wiele lepiej. Nienawidzę pozorów tej przeklętej polityki zagranicznej.

Kły wyciągają się, uszy pikują w górę, a oczy bestii zalewa żółć. Mundur pęcznieje pod zwojami mięśni.

– Obiecali, że mnie uwolnią, jeśli będziesz współpracować... – Nagle rozlega się przerażający krzyk. – Możemy ukrócić jej cierpienia, Tomasz. – Dioda gaśnie, wizjer zasuwają się z hukiem.

Obrazy zmarłych mistrzów wiszą tak gęsto, że nie można dostrzec koloru tapety w pomieszczeniu. Podłoga ugina się pod ciężarem klasycznych rzeźb, kufrów wypchanych skarbami, oszklonych półek pełnych drogich ponderabiliów oraz kompletów zbroi lordów i królów, z których wielu odcisnęło swoje piętno na kartach historii. Pośrodku tych wszystkich cudów – ogromny szary sejf z trzema szyfrowymi kołami, zamykany tuzinem tłoków i sztab, sześcioma zamkami i potrójnym kodem. A wszystko oświetlone jarzeniówkami ułożonymi w symbol Nerona, które przygasają, kiedy do pomieszczenia wchodzi trzygłowa bestia.

Brunatna skóra potwora lśni, tylko grzebień czarnych ostrzy ciągnący się wzdłuż kręgosłupa pozostaje matowy. Dwa łby wężą, a ten z lewej zawisł na przetrąconej szyi. Gruby ozór jak ususzony robal wystaje spomiędzy kłów, ożywając tylko wtedy, kiedy niedorozwinięta morda szepcze w mrukliwym języku piekielnych psów. Dwie pozostałe pilnie słuchają poleceń, ponieważ ta ułomna została obdarowana zdolnościami najhojniej.

Piekielny pies powoli przechodzi pomiędzy cudami zgromadzonymi przez diabły. Zawadza ogonem naszpikowanym gwoździemi o napoleońskie popiersie i gęba cesarza-kurdupła rozszczepia się, uderzając o podłogę. Warkot wprawia w drżenie porcelanę. Wazony tańczą na półce za szklaną gablota, której idealną powierzchnię przecina teraz rysa.

Z sejfu wypada Lidia. Koła szyfrowe kręcą się, kiedy przenika przez drzwi. Pod pachą trzyma pakunek w szarym papierze oraz niewielki kordzik; oddycha głęboko, przywraca energię do ciała astralnego, zmęczonego po przeniesieniu cennej zdobyczy w duchowy wymiar. Powoli odzyskuje odpowiednią gęstość, staje pewniej, a świat

widziany przez eteryczne oczy zyskuje wyrazistość. Transmigracja jest jedną z najbardziej skomplikowanych umiejętności.

Pysk na zwichniętej szyi unosi się, wyczuwa obcą woń ducha, prycha. Dwa pozostałe łby krzyżują wzrok w miejscu, gdzie odpoczywa Lidia. Piekielny pies zrywa się do biegu, pazury orzą podłogę, wrywając głębokie bruzdy w dębinie.

Pośród odmetów bólu Tomasz znajduje spokojną wyspę. Cichy syk wypełnia jamę ustną, kiedy przegryziona ścianka pomby w czwórce uwalnia kojący specyfik.

Narkotyk z wolna rozpuszcza się, klei język smakiem gorzkich migdałów, każde kolejne przełknięcie śliny przynosi ukojenie. Umysł przenosi się w przeszłość, do wczoraj, do poprzedniego tygodnia, do zeszłego miesiąca... Widzi Lidię w błękitnej koktajlowej sukni, śmiejącą się perłście, kiedy wręcza mu półokrągły kielich czerwonego wina. Gładzi jej ciemne włosy, o których później dowie się, że należały do innej, zanim posłużyły jako materiał do peruki. Prawdziwa Lidia jest ogolona na zapalkę, nie porusza się też tak kobieco jak na przyjęciu. Naprawdę jest zdecydowana, szorstka i gwałtowna. To najprawdziwszy żołnierz. Ale i aktorka zdolna zagrać damę podczas jednego wieczora.

Łzy ściekają po opuchniętych policzkach. Prawie czuje zapach jej skóry, jędrność nóg oplatających jego biodra, gorący oddech zbliżających się ust.

- Zrobisz to? Naprawdę? – Dziewczyna układa głowę na piersi Tomasza.
- Pewnie, że zrobię. Dla mojej matki, dla siebie, dla ciebie...
- Dla sprawy – poprawia go.
- Tak, dla sprawy.
- Uratujemy wielu ludzi.

Mężczyzna leży pośrodku małżeńskiego łóżka, jedwabna pościel zsuwa się z szelestem, ukazując jego nagie ciało. Lidia otula się delikatną kołdrą i lekkim krokiem podąża na balkon. Mleczne światło księżycy obmywa ogoloną głowę, osiada na ramionach wystających ostro znad miękkości materiału.

– Wina?

– Nie piję.

– Kiedy się poznaliśmy, trzymałaś kielich.

Podchodzi do niej. Oparta o balustradę, zdaje się spoglądać na podświetlone kolorowo fontanny, tryskające wodą w takt obłądnej melodii. Tomasz podąża za jej wzrokiem – tak naprawdę Lidia obserwuje ludzi. Ogląda roześmianą tuszczę, świętującą przełamanie roku, jakby czegoś dokonali. Radośni, opętani Ignorancją, niezdolni dostrzec, że piekielne państwo Ereb na granicy polskiej i czeskiej tak naprawdę nie powinno istnieć; pogodzeni z obecnością diabła, jakby była normalna.

– Nie piję.

– Pamiętam, kiedy się poznaliśmy...

– To była sztuczka, jeden z rekwizytów mających zaciągnąć cię do łóżka, Tomasz. Peruka, suknia, drogie perfumy, makijaż... To pozory.

– Kiedy tak mówisz, myślę, że cię nie znam, Lidio.

– Nie znasz.

– Chciałbym poznać. – Pociąga długi łyk. Wino płonie w kryształowym kielichu, kiedy fajerwerki rozrywają eksplozjami nocne niebo.

Ludzie wiwatują. Prości i bezmyślni, konsumenci i przeżuwacze. Tomasz cieszy się w duchu, że płot i wysokość drugiego piętra hotelu Hilton oddzielają ich od tej hołoty. Bawią się, choć członkowie ich rodzin, ich przyjaciele, nawet oni sami w każdej chwili mogą znaleźć się w Piekło. Piją bruderszaft z czartami w mundurach!

Czy demon kupujący Guerlaina dla swojej kochanki, która może być córką, matką albo żoną jednego z tych mężczyzn, to już dla nich proza życia?

– Chciałbyś mnie poznać? – Jej głos wyrywa mężczyznę z zamyślenia. – Naprawdę poznać?

– Tak. Kiedy to wszystko się skończy i zdobędę te papiery... Chciałbym.

Lidia odwraca się, odrywa znużone spojrzenie fiołkowych oczu od tłumu i patrzy na Tomasza, który drży. Chociaż powietrze z pokoju otula ich ciepłą poduchą, pojedyncze podmuchy wiatru przedostają się przez tę osłonę.

– To się nie skończy. – Drobną, ale zaskakująco silną dłoń chwyta go za przedramię. – To się nie skończy.

– Dostaniesz papiery, wydobędziesz niewinnych z Piekła. Wydobędziesz moją matkę...

– I będziemy żyć długo i szczęśliwie? – Uśmiech jak cień przesuwa się po jej zaciśniętych ustach.

– To głupio brzmi – słyszy swój głos.

– To głupio brzmi – powtarza w swojej celi, pogrążony w narkotycznym śnie.

– Oni cię złapią, będą torturować, a na końcu zabiją i wezmą do Piekła. – Twarz Lidii jest skupiona, palce zaciskają się mocniej na przedramieniu mężczyzny. Jej oczy rosną, a on ginie w nich, wpada w głąb czarnej studni, skąd nie widać gwiazd.

– Jestem na jutro umówiony z człowiekiem, który dostarczy papiery.

– On nie przyjdzie.

– Ale...

– Zaśniesz, Tomaszu. Zaśniesz, a oni zabiorą cię do najbliższej ambasady. Tam będą torturować...

– O czym ty mówisz?! – przerywa nerwowo, próbując wyrwać się ze stalowego uścisku palców.

Te nie rozluźniają uchwytu. A on jest słaby, tonie w oczach czarnych jak kosmos, frunie przez bezmiar galaktyk. Płynie głębiej i głębiej w ten mroczny kosmos jej duszy i nie może zawrócić.

– Nie powiesz im niczego ważnego, Tomaszu. Będzie boleć, będzie bardzo boleć, ale niczego nie powiesz.

– Nie powiem.

– Zabierz to, Tomaszu. – Wciska mu w dłoń honorowy kordzik polskich wojsk specjalnych. – Trzymaj to, kiedy po ciebie przyjdą. I zaczekaj na mnie.

– Zaczekam – mówi, upadając na podłogę apartamentu.

– Czekam – powtarza, zasypiając w celi.

Strażnik wypowiada słowa przysięgi, salutując przed oficerem.

– Miej oczy otwarte, młodziku. Dzisiaj może zasłużysz na imię.

– Tak jest i będzie, lordzie Belmez.

Złowieszczy pomruk wydobywa się z gardzieli diabła, aż strażnik truchleje i niemal traci poprawną, przepisową postawę. Czeką na cios hańby, oczekuje kary i dopiero kiedy drzwi gabinetu trzaskają za starszym diabłem, oddycha z ulgą. Struga siwego dymu ucieka ustami w górę.

Major Belmez rozpina guziki służbowej koszuli i siada za dębowym biurkiem, na fotelu obitym ludzką skórą. Ten mebel zawsze go uspokoja, prawie czuje cierpienie ofiary zawarte w dziele psychopaty, niemalże słyszy ostatnie krzyki przeradzające się w rzeźnię. Wreszcie chwilę po śmierci zapada cisza. Ta najpiękniejsza i najpełniejsza z cisz.

– Lord Belmez – mówi, spluwając.

Niegdyś był nim, posiadał ziemię w Otchłaniach oraz dwa legiony podległych żołnierzy. To było jednak dawno temu, jeszcze przed przewrotem, kiedy władzę w podziemiach przejął proletariąt, pozbawiając dawnych władców ziem i przywilejów. To, że Belmez został szefem placówki dyplomatycznej w Polsce, zawdzięczał wyłącznie uporowi i diablemu skurwysyństwu, które każda władza potrafi docenić.

Sięga do pudełka pełnego kubańskich cygar zwijanych pomiędzy udami zarzynanych kobiet, odpala jedno zapalniczką, w którą wprawiono judaszowego srebrnika, i zaciąga się. Uwielbia piękne rzeczy, nie umie zrezygnować z tej przyjemności, choć nowa władza nie pochwała skłonności do przepychu wśród swoich oficerów. Przynajmniej oficjalnie.

Sięga do biurka po teczkę zatytułowaną „Lidia Love” i pogrąża się w lekturze. Pierwsze doniesienia o wybrykach tej niegrzecznej dziewczki datowane są na 6123 rok Strącenia i Upodlenia Oświeconego Lucyfera, czyli niewiele ponad pięć lat wcześniej. Jej ofiarą padł wówczas piekielny agent spędzający wieczór w sopockich klubach. Świadkowie widzieli go, jak wychodził z rudzielcem... I w zasadzie na tym trop się urywał, aż do momentu odnalezienia głowy czarta zatkniętej na ulicznej latarni.

Pierwsze ataki Love były brutalne i nie posiadały finezji, którą zastąpiła ostatnimi czasy. Najwyraźniej z początku nie posiadała jeszcze sztuki opuszczania ciała, mamienia samców czy tworzenia myślokształtów. Była kolejnym rzeźnikiem, zwyczajnym terrorystą, nieumiejącym pogodzić się z twardą rzeczywistością...

Belmez odkłada papiery, zaciąga się cygarem. „Zawsze będą niezadowoleni – myśli. – Niezdolni pojąć, jak wiele trudu kosztowało nas stworzenie Ereba, ile musieliśmy poświęcić, żeby znowu zobaczyć słońce i księżyc. Czerwona ziemia powstała dzięki tysiącom lat krwawych rytuałów odprawianych przez ludzkich wyznawców, począwszy od ofiar składanych przez neandertalskie plemiona, a

skończywszy na hitlerowskich obozach zagłady. Ereb – przyczółek piekielnych otchłani na kuli ziemskiej. Tymczasem zakłęcie tkane w ciągu mileniów przez Lucyfera nie zadziało zgodnie z założeniami. Pojawili się ci, którzy widzą prawdę. Wiedzą, że czerwonej ziemi pośród Tatr nie powinno być, że chodzenie diabłów po świecie jest wbrew porządkowi rzeczy. Prowadzą więc swoją partyzancką wojnę, atakują dostawy dusz, mordują nieuważne diabły, próbują przeniknąć do naszych szeregów. Czasem szturmują nawet granice Erebu, niedostrzegani i niezrozumiani przez ogół ludzkości, jednak granic Piekła nikt nie może przejść”.

– Chyba że ma zaproszenie. – Z pokoju Skarbca piętro wyżej dobiega huk.

Lidia Love uczepona sufitu... Albo podłogi, zależnie od punktu widzenia. Trzyma dłońmi za strop między Skarbem a pokojem poniżej, przenika dębową posadzkę i cegły, a reszta jej astralnego ciała zwisa w gabinecie Majora Belmeza. Obserwuje, jak ten gasi w pośpiechu cygaro i zrywa się, żeby sprawdzić przyczynę hałasu.

Lidia domyśla się, co spowodowało huk, chociaż sama już tego nie widziała. Kiedy piekielny pies zaatakował, wyszarpnęła z torby dwa koncepty eteryczne, naprędce zmieniając je w sztylety. Pies ruszył, rwąc drzazgi żelaznymi pazurami. Uskoczyła, ale jeden z kłów musnął jej eteryczne ciało, wywołując drzenie. Odbiła się od pobliskiej gabloty, wyciągając kolejny myślokształt z torby, i wylądowała przed sejfem. Sztylety po rękojeści tkwiły już w grzbiecie potwora, jego boki tonęły w czarnej posoce.

Bestia stanęła, zamruczała, koślawy pysek zawarczał na kobietę, dwa pozostałe błysnęły kłami. Para uniosła się z trzech nosów, rozległo się krótkie wycie i potwór zaczął pędzić.

Ostatnia część pojedynku trwała może trzy sekundy. Lidia zmieniła koncept w strzelbę, wypaliła z obu rur w skrzywiony pysk, pozbawiając przeciwnika zdolności postrzegania pozazmysłowego, po czym zanurzyła się w podłódze, unikając kłów i pazurów. Nad nią rozległ się huk. Niepowstrzymana siła natrafiła na nieporuszalny obiekt.

Lidia opuszcza się na podłogę gabinetu. Kordzik trzyma za pasem, naprędce przegląda zdobyte papiery. Rzecz prawie skończona, pozostał tylko deser.

Oficer z posepną miną obserwuje powalonego psa. Jeden łeb rozerwany jak dojrzała pomarańcza, pozostałe dwa z połamanymi szczękami jeszcze rzeżą. Tkanka spływa z ciemnych drzwi sejfu. Belmez w myśli przeklina Komitet Centralny, który pożałował jego placówce astralnego agenta, wykpiwając się tym ułomnym burkiem.

– Love! – syczy.

– Love? Nie rozumiem, panie majorze – mówi jeden z szeregowców, wykazując się skrajnym nierozgarnięciem.

Diabeł zwalnia go ze służby srebrną kulą ulokowaną w czole, po czym chowa rewolwer do kabury.

– Usunąć to ścierwo! Oba te ścierwa!

Żołnierze odciągają trupy, a Belmez łapie za koła szyfrowe i zaczyna wybierać cyfry; z niemałą irytacją zauważa, że jego dłonie drżą.

Tomasz wraca z krainy snów do celi i pierwszym, co widzi, jest twarz ukochanej. Szarpie się, zrywa z pryczy, usiłując jej dotknąć, lecz dziewczyna kręci głową. Jej obraz drga, rwie się jak telewizyjna transmisja przy złej pogodzie.

– Lidia?

Czy to naprawdę ona?

– To ja, ale nie w ciele. Widzisz moją astralną formę.

Tomasz kiwa głową, chociaż niczego nie rozumie. Podejrzewa, że sprawcą tego omamu jest narkotyk wciąż krążący w żyłach.

– Chodź za mną. – Kochanka wskazuje na drzwi, które są otwarte. – Zająłam się wszystkim.

To jest jak sen. Tomasz z trudem układa w głowie myśli, kiedy krok za krokiem podąża za widmem. Z wyłożonych cegłą lochów wychodzą do piwnicy, a później tajemnym przejściem na parter. Każde drzwi są otwarte, nie ma śladu po strażnikach. Dalej korytarzem i do wyjścia na ogród. Ucieczka okazała się dziecinnie prosta.

– To musi być sen.

– Strażnicy są zajęci. Pułapki rozbrojone. Musisz tylko dotrzeć do białej furgonetki po drugiej stronie ulicy. Kluczyki tkwią w stacyjce, na siedzeniu pasażera leży mapa. Krzyżyk to miejsce, gdzie na ciebie czekam.

– Czy to prawda? Prawda? – bełkocze mężczyzna.

Lidia Love macha na niego, biegnąc w kierunku bramy. Tomasz z początku potyka się, usiłując nadażyć, jednak każdy kolejny krok jest pewniejszy. Brama otwiera się, jęcząc jak potępieniec, i uciekinier przecina ulicę, dopadając białego samochodu. „To może się udać – myśli. – Jeszcze będzie dobrze. Straciłem pozycję, już nie będę mógł importować towarów z Erebu, jednak dzięki zdobytym przez ukochaną papierom uratuję matkę i kilka innych osób. I może jeszcze odjedziemy w kierunku zachodzącego słońca?”

Belmez rozerwał gardło kolejnego szeregowca, stwierdziwszy, czego brakuje w sejfie. Kiedy opanował napad furii, popędził do celi Tomasza, i nie zastał więźnia. Kolejny szeregowiec przypłacił życiem tę porażkę.

Biegali tak po ambasadzie dłuższą chwilę – oficer na czele swojej sfory – aż jeden z żołnierzy krzyknął:

– Tam jest!

„Być może to nie będzie kompletna porażka” – pomyślał major.

Kwadrans później Tomasz zajeżdża pod wskazany na mapie adres. Ramię w ramię z duchem ukochanej wchodzi do zrujnowanego budynku, gdzie niegdyś mieściła się jedna z siedzib Amber Gold. Teraz królują tu szczury i karaczany, biurowym meblom puszczają kołki, spływa klej, a kurz zastępuje w powietrzu tlen.

Tomasz traci oddech, adrenalina opada i odzywają się odniesione rany, przypominając o swoim istnieniu. Nogi miękkie, kolana luźne; próbuje znaleźć oparcie w dziewczynie, ale przelatuje przez nią i upada na twarz.

– Tutaj kończy się twoja podróż. – Lidia staje nad nim w rozkroku.

Mężczyzna podnosi głowę, ale słabość przygniata go do podłogi ciężką łapą.

– Musisz zrobić dla mnie jeszcze coś, Tomasz.

Kiedy Tomasz stracił przytomność, trzy czarne mercedesy zajechały pod budynek Amber Gold.

– Otoczyć to miejsce! Nikt nie może się wydostać – grzmi Belmez, wysiadając z pierwszego samochodu. – Wy czterej ze mną – rozkazuje czartom.

Z wyciągniętą bronią szturmują biuro. Czerwone światła latarek tną ciemność, a twarde podeszwy kruszą te z robaków, które nie dość szybko przebierają odnóżami.

– Teren czysty – rzuca fachowo kapral.

– Tam ktoś leży – szepcze szeregowy.

Kapitan kiwa głową. Złapie Love, zostanie odznaczony, może nawet awansowany na podpułkownika...

Lidia patrzy na Tomasza, kiedy diabły zbliżają się do biurka, za którym leży. Przykuca nad mężczyzną, pochyla głowę.

– Teraz – szepcze mu do ucha.

Lidia budzi się w wygodnym łóżku trzygwiazdkowego hotelu. Chwyta butelkę z wodą i pociąga kilka solidnych łyków. Sięga do nasączonej eterycznie torby, której mentalną projekcję miała przy sobie, i wyciąga zdobyczne papiery wizowe. Oryginały z wyrysowanymi Sigilami, znakami wodnymi, skąpane we krwi, niemożliwe do podrobienia. Ślini palce i przelicza zdobycz, a pod jej oknem grzmią syreny ciężarówek straży pożarnej.

– Okrągły tuzin. – Wreszcie uśmiecha się szczerze.

Trzymając zdobycz, podchodzi do okna i otwiera je, pozwalając chłodnemu, nocnemu powietrzu wedrzeć się pod cienką podkoszulkę. Okrągły czerwony księżyc

piecze się pod ogniem szalejącym trzy przecznice dalej. Ludzie wychodzą na ulicę, pokazując palcem na słupy dymu wrastające w ciemny horyzont.

– Nie ma już gwiazd – Lidia słyszy własny szept.

Karawana straży pożarowej przeciska się przez tłum bezrefleksyjnie ciągnący za sensacją. Agentka przetyka pojedynczą łzę, po czym zamyka okno, odgradzając się od tego wszystkiego. Nie ma czasu, nigdy nie ma.

Z szafki pod lustrem w łazience zgarnia do torby dwa tuziny specyfików nieodzownych w pracy, w pokoju zakłada bojówki, sznurowuje ciężkie wojskowe buty. Z szafki przy łóżku wyciąga służbowy P-83, fachowo przeładowuje i wsadza broń za pasek. Znowu sięga do torby, przesuwając sakwy z conceptami, aż rzuca się jej w oczy znajomy błysk pamiątkowego kordzika – jej fokusa. Chowa zdobyczne dokumenty i narzuca skórzaną kurtkę. Przed wyjściem stawia jeszcze wielkiego kaktusa w oknie na znak, że misja zakończyła się sukcesem. Stare metody są najlepsze, jeśli nie ma pewności, kto nasłuchuje w sieci.

Piana i woda kotłują się z ogniem w bitwie o gruzowisko. Załogi pięciu wozów strażackich od godziny walczą z pożogą. Starszy brygadzysta rozporządza zespołami gaśniczymi, a kordon policji oddziela gapiów od akcji. Lekarze i pielęgniarze pogotowia popalają papierosy, nie znajdując zatrudnienia.

– To celowe działanie. – Komendant Karski gładzi obfitego węża, próbując zignorować rozbawione spojrzenia słuchaczy, bardziej zaciekawionych jego obfitym, rwącym guziki munduru brzuchem niż słowami. – Robota zawodowca. Budynek zapadł się, prawie nie naruszając sąsiednich domów.

– Tego dokonał pożar! – krzyczy nadbiegający strażnik. – Przesuńcie gapiów dalej, spodziewamy się eskalacji ognia.

– Znaleźliście kogoś? – Doktor pogotowia łapie go za rękaw, zatrzymując w biegu. – Możemy się do czegoś przydać?

– Nikogo. Główny budynek całkowicie zniszczony, płonie. Niemożliwe, żeby ktoś przeżył. Ogień się rozprzestrzenił, ale sąsiedzi zostali ewakuowani.

– Rozumiem.

– Mogę wracać do pracy?

Doktor mruga, podąża za wzrokiem strażaka i puszcza jego rękaw.

– Przepraszam. – Jego słowa toną w tumultcie.

Wybuch rzuca ratownikami o ziemię. Karski czuje chłodny beton pod policzkiem; koszula munduru pęka pod pachą, kiedy koziółkuje. W głowie słyszy szaleńczy tętent tysiąca kopyt, a ścierając krew z czoła, dostrzega, że ulica drży. Pozostali podnoszą się już, kiedy on jeszcze leży. Nie może przestać patrzeć na rumowisko, a tam...

Kamyki opadają, wielka płyta pęka z hukiem, dym prychnie i ze środka wyłazi coś potwornego. Cień tytanicznego stwora ryczy, ogień wypływa z jego gardzieli.

– Nic ci nie jest? – Podbiega do niego doktor, z którym wcześniej rozmawiał.

– Nie widzicie tego? Dlaczego nic nie widzicie?! – Grubas wrzeszczy, podczas gdy stwór z piekła rodem z furją bije skrzydłami, powoli wznosząc się do lotu.

Wielki dąb wyrasta przed maską. Lidia mruga, serce przyspiesza, a adrenalina pod ciśnieniem trafia do żył; kobieta z całej siły szarpie kierownicą i garbus zakręca prawie w miejscu. Koła ryją trawę, wyrzucają na boki wilgotną glebę, a tylny zderzak uderza w konar.

Zmiana biegu, wiązanka przekleństw i agentka wraca na szosę. Przełyka kilka pigułek odganiających senność. Przywykła do osłabienia i odwodnienia

towarzyszących każdemu z Wyjść, jednak ciało potrzebuje czasem chemii, żeby stale być w pędzie. Ciało to nie wola. Ciało można złamać.

Przekręca gałkę radia, próbując odnaleźć jakąś żywszą audycję. Bezskutecznie. Wszędzie rozmowy, cała masa rozmów, jakby ludzie chcieli zagadać się na śmierć. Rozmawiają o kryzysie, chorobach, majtkach jakiejś przebrzmiałej gwiazdy i inwektywach, jakimi w bieżącym roku obrzucali się polscy politycy. Nic o Erebie, nic o ambasadzie, którą Love okradła... Tak działa diabeł. Sprawia, że ludzie go ignorują. Kiedy Tatry rozwarły się i pomiędzy Czechami a Polską wyrosła ta ich czerwona ziemia, ciemny lud świata uznał to za normalne. Co więcej stwierdzono, że zewnętrzna odnoga piekielnych czeluści zawsze znajdowała się na tej szerokości geograficznej, a setki ambasad, które w ciągu chwili pojawiły się na całym świecie, również istniały od zarania dziejów. Zupełnie tak, jakby wszystkim ludziom na świecie ktoś wymienił pamięć.

Na szczęście są też tacy jak Lidia, którzy wiedzą więcej.

Uchyła szybę i zapala papierosa. Zimny powiew i tytoń potrafią zdziałać cuda. Dym ucieka nosem, kreśli pętle w kabinie, po czym ucieka wyciągany przez przeciąg.

Dwa miesiące temu dowiedziała się, że kolejny atak na granice Erebu kosztował życie prawie dwóch tysięcy żołnierzy. Nikt nie zdołał przejść pola chroniącego piekielne ziemie. Tajna wojna Oświeconych z Armiami Piekieł trwa od dziesięcioleci, a diabeł drwi z nich na każdym kroku.

Buch. Dach samochodu obniża się z hukiem, uderzając agentkę w czubek głowy. Papieros upada na podłogę, gdzieś pomiędzy pedały. Auto skręca, prawie wypadając z drogi.

Lidia widzi rozmazany kształt i na szybie wyrasta pajęczyna pęknięć, drobinki szkła uderzają ją w twarz. Agentka wyszarpuje pistolet z torby, wkłada go pod pachę

i przeładowuje jedną ręką. Znajome kliknięcie sprowadza spokój. Zagryza zęby, gotując się na huk, i wypala w sufit kabiny.

Bum.

Bum.

Bum.

Bębenki eksplodują bólem, ciemny kształt opada na maskę garbusa. Dymiąca krew rosi lakier. Żółte kły błyskają na tle czarnego cielska, a pazury przecinają szybę. Lidia puszcza kierownicę, przystawia broń do gęby potwora...

Potworna siła rzuca nią jak szmacianą lalką. Samochód uderza czołowo w drzewo, odbija się jak piłeczka, przekręca i koziołkuje.

Ślady opon prowadzą do wraku zgniecionej jak kulka papieru. Pomimo zniszczeń samochód porusza się, przesuwając i wzlatuje w górę, płynnie przewrócony na dach. Belmez powstaje raz jeszcze.

Połamane skrzydła zwisają smutno, lewe trzyma się na pojedynczym ścięgnię, więc diabeł odrywa je, warcząc wściekle. Spluwa juchą, kłami krzesze iskry. Kroczy niepewnie, utykając na lewe kopyto, ale sił dodaje mu myśl, że jeśli przyniesie parujące truchło Love i odzyska papiery, wszelkie winy zostaną mu darowane. Stoi pod ścianą. Nie ma wyboru. Zwycięstwo albo niebyt.

Pociąga nosem i podchodzi do leżącego nieopodal ciała. Chwyta je i unosi, na trawę upada pamiątkowy kordzik.

– Tyle kłopotów sprawiłaś. – Ogląda ją z obrzydzeniem. – Myślałaś, że wszystkich przechytrzysz. Miałaś mnie za głupca.

Trąca kopytem leżący sztylet.

– Od razu rozpoznałem fokusa. Wiem, że może służyć astralom do odnalezienia drogi. I kto okazał się głupcem, Lidio Love?

Rozcina pazurem skórzaną kurtkę i koszulkę dziewczyny, obraca jej małe piersi w dłoniach.

– Takie coś. Takie marne coś. – Spluwa na sutek. – Choćbym miał zezwolenie od Komitetu Centralnego na dziesięć tysięcy dziwek, nie trafiłabyś na listę. Jesteś, pani Love, zerem. Jesteś...

Nie kończy zdania. Oddech staje w gardle, mięśnie wiotczeją i monstualne cielsko upada na ziemię.

Astralna projekcja Lidii ciągnie za eteryczny hak wetknięty pomiędzy łopatki demona. Krok za krokiem wyciąga osmaloną duszę z ciała. Nieczysty wierzga i syczy opatulony siwym dymem, rozpada się, jakby ktoś kapał go w kwasie. Wbija eteryczne szpony w trawę i szarpie, szarpie... Jego palce pękają, a on sam rzyga ektoplazmą. Ostatkiem sił Oświecona odrzuca go na konar drzewa, rozrywając na kawałki w pyle i ogniu.

– Duchowy plan nie jest dla wszystkich, skarbie.

Epilog

Lidia popija cierpką kawę w przedziale jadalnym Warsa. Wspomina słowa Pułkownika Brzozy podczas ostrzału neo-plazmatycznego na granicach Ereb. Ukryci w pohitlerowskim bunkrze, we wnętrzu wzgórza najeżonego trójkątami zielonych sosen, popijali kawę równie cierpką jak ta.

– Musimy obudzić ludzi. Nie możemy toczyć tej wojny sami. Jest nas raptem kilkanaście tysięcy, a nie wiemy nawet, jak wielu wrogów czai się w piekielnych czeluściach.

– Jak można pokazać świat ślepym? – zapytała wówczas.

– Przekroczymy tę cholerną granicę, wejdziemy do Erebu i znajdziemy przejście w dół. O ile istnieje. Tam znajdziemy coś, co pozwoli zrozumieć masom, że świat nie jest taki, jakim być powinien. Coś podtrzymującego to kłamstwo.

– O ile coś takiego istnieje.

– W każdym razie dzięki papierom wizowym, mały oddział będzie mógł się wreszcie przedostać. Po raz pierwszy ktoś z Oświeconych stanie na tej przeklętej ziemi.

– Proszę o możliwość uczestniczenia w akcji, panie pułkowniku.

– Nie musisz prosić.

Lidia zgniata pusty kubeczek i wysokim lobem posyła go do kosza. Wyciera chusteczką usta. Mija ją mężczyzna w eleganckim garniturze. Długie włosy opadają na twarz, ale i tak ciężko nie zauważyć małych, ciemnych rogów na czole. Dwie panienki w krótkich spódniczkach chichoczą na jego widok; zastanawiają się, czy to prawda, co opowiadają o diabłach, jeśli chodzi o „te sprawy”.

Lidia zaciska dłoń na rękojeści kordzika schowanego w pochwie zawieszanej pod kurtką. Zneutralizowana święconą wodą broń znowu jest nie do namierzenia przez siły piekielne.

Lidia patrzy na diabła czarującego dwie panienki i próbuje się opanować, nie pamiętać o dniu, kiedy zaczęła widzieć świat takim, jakim jest naprawdę. Nie chce kolejny raz wracać do tamtej nocy w Hammamet... Nie chce do tego wracać. Liczy się większa sprawa. Liczy się wygrana wojna, a nie pojedyncze bitwy i pragnienie zemsty gorejące w piersiach jak supernowa. Nie wymorduje ich wszystkich sama.

Lidia wstaje od stołu.

Oficyna wydawnicza **RW2010**

Na każdą kieszeń na każdy czytnik

Od kryminału po urban fantasy. Od science-fiction po dramaty. Latająca wyspa plemienia Wilg i Polska okresu PRL-u. Mroczne zaułki Chicago i obca planeta zamieszkała przez nadistoty. Nieodległa przyszłość i czasy barbarzyńców. Poznań i tajemnicza Asylea. Trzymajcie się mocno. Jedenaście opowiadań. Dziesięciu bohaterów. A wszyscy to szuje, mątwy albo straceńcy.



Chicago, 1939 rok. Miastem wstrząsa seria morderstw. Tajemniczy zabójca zbiera krwawe żniwo wśród pracujących dziewcząt, pozostawiając charakterystycznie okaleczone ciała. Detektyw Ezra ma mało czasu, żeby rozwiązać zagadkę. A najpierw musi zmierzyć się ze swoim demonem. Z zaułków Chicago, po kraniec wszechświata. Kryminał fantastyczny, jakiego jeszcze nie było.

**Dobre ebooki
w dobrej cenie**

**szukaj na
www.rw2010.pl
lub w e-księgarniach**

RW2010

REWOLUCJA WYDAWNICZA!